

# Juliusz German

---

## Projekt uzupełnienia "Złotej Czaszki"

---

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 8/1/4, 189-197

---

1909

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Projekt uzupełnienia „Złotej Gzaszki“.

Więc widzieliście w chorągwie cechowe  
ubrany dworek starego szlacheica

. . . . .  
I pokazałem wam klasztorne życie  
i pokazałem studentów i żaków  
i pokazałem w przeszłości błękanie  
lud, co nazywał się ludem Polaków.  
Teraz przy dalszej zorzy zobaczycie  
las pływający rozwiniętych znaków,  
ten domek w zieleń wiosnianą ubrany  
i usłyszycie jak puka do ściany  
nieszczęście.

W tych ostatnich pięciu wierszach zaznaczone są dalsze koleje dramatu, który w szcążkowym swym kształcie zachował nam dwie nieśmiertelne poetyckie postacie: pana Strażnika krzemienieckiego i jego córki. Jedyna to wskazówka, z której wysnuć można obraz dalszych tragicznych zawikłań, jedyne światło, które oświeca mroki nieobleczonej w żywy kształt świętych pomysłów Poety.

(„Parabaza“ mieści się w rękopisie po wierszu 349, po scenie księdza Prowincyała z Zakrystyanem. Małecki podał ją na końcu, po słowach Agnieszki: „o ja nieszczęśliwa — zaniesiecie mnie na cmentarz!“).

Niech mi będzie wolno w krótkości przedstawić projekt uzupełnienia dramatu. Może kiedyś ktoś śmiały, pełny uwielbienia dla Poety, a poetyczną gwiazdą naznaczony, z pomysłu mego skorzysta — z odwagą szaleńczą i kornem skupieniem podejmie dzieło wielkie, ponad siły, a zaszczytne może — ośmieli się podnieść czarną zasłonę kryjącą to „nieszczęście“, które musi być straszne, a posągowo wielkie, oświecone złotym blaskiem gwiazd, zawieszonych u stóp Bogarodzicy. Może —

Dziś o dalszych scenach dramatu mówi marzenie. Dwa akty. Węzeł dramatyczny zadzierżgnięty.

Pan Strażnik, marszałkiem konfederacji deklarowany, spędza ostatnie chwile w dworku pod lipami. Zapada wieczór — a jutro

---

literackie. Poznań 1884. (Balladyna i Lilla Weneda: str. 321. nn. — Przedruk z Bibl. Warsz. 1883. t. IV. 54.). — Pictet Adolphe: De l'affinité des langues celtiques avec le sanscrit. 1837. — Surowiecki Wawrzyniec: Śledzenie początku narodów słowiańskich. W Warszawie 1824. — Szafarzyk Paweł Józef: Starożytności słowiańskie. 2. t. Tłómaczył Bońkowski. W Poznaniu 1842. — Tretiak Józef: Juliusz Słowacki. W Krakowie 1904. t. I. str. 166. nn.

obywatele cechowi i bracia szlachta wyruszą pod wodzą Złotej Czaszki na stojących w Dubnie Szwedów. Pan Strażnik siedzi przy kielichu z zięciem swym już, Rejentem Gąską, „drewnianym człowiekiem w aksamicie“, który przed chwilą niechętny konsens panny Agnieszki usłyszał.

W drugim pokoju w ramionach matki płacze ta złotowłosa oblubienica nareczów, w żaku-poezie zakochana.

Bo z tych dwóch studentów Jan tylko jest poetą, choć wierszy zręcznych nie komponuje.

(Szaweł i Stanisław wydają mi się jedną i tą samą osobą. W scenie IV. aktu pierwszego Szaweł płaci Janklowi za wino dukatem, który Stanisław w scenie I. otrzymał od Rejenta Gąski. Podobnie nie może ulegać wątpliwości, że student w drugim akcie nazwany Kleofasem jest Janem, synem biednej wdowy).

Jan, przed chwilą z domu Strażnika chorągwiemi panów cechowych na ulicę wygnany, pewno w domu zajezdnym Jankla znowu zasiadł z przyjacielem przy dębowym stole, nad lampką wina schylony. Nad despektem swoim zapamiętał się, twarz płonie mu wstydem, upokorzenie myśli zamąca.

Oto chciał się „zaciągnąć pod chorągwie rycerstwa polskiego“, gdy już „być mu żołnierzem, nie Strażnika zięciem“, marzył, by ze studencką szabelką pójść na szwedzkie rapiery, pójść i zginąć — ale jak bohater.

Tymczasem w obliczu panny ukochanej zwymyślano go od obdartusów i kanalii i bizunami zagrożono. Widmo od wszelkiej rozpaczy straszniejsze, zniechęcenie, w duszy młodej zaczyna szarzyć trupim połyskiem. A przy nim przyjaciel skrybent podnieca skrytą myśl zemsty. Zemsty? „Jeżeli jej nie uwiedziesz, będziesz kłpem!“ — „...Ciebie z domu wypędzono, a Strażnik nazwał cię obdartusem“. (Te słowa znajdują się w pierwszej scenie dramatu i powtórzone są w rozmowie Jana z Szawłem, tworzącej ostatnią scenę aktu pierwszego. Wobec tego wydają mi się te słowa i ta scena antycypowane. Sytuacja wypędzenia Jana z domu Strażnika wiąże się chronologicznie z aktem drugim. Trudno przypuścić, by Jan przedtem mógł znaleźć wstęp do dworku pod lipami).

Zemsta. Za kilka godzin Strażnik wyruszy na Szwedów. Jeśli studentom, podłym infimusom, do wyprawy rycerskiej przyłączyć się nie było wolno, może tu znajdą do innych zabaw ochotę.

Stary, groźny ojciec daleko — a córka zakochana.

Tak. Oczy jej „dyamenty morską napełnione falą“ świecą w ognistych błyskawicach, gdy przez dni szereg o świtanii z pościeli się zrywając, „zasznurowana ale bez jubki i w kornecie“, wyglądała przez serduszko okiennicy i widziała chłopaka pod lipami skrytego, a patrzącego w nią jak w zjawienie cudu, całą siłą duszy utęsknionego. Rozszlochała się, gdy ojciec żaków za próg wyganiał i płacze, do tej pory płacze.

Łzy otrzeć z tych oczu „gwiazdowych, przeczystych“ — otrzeć pocałunkiem. I zemsta za afront. Przecie my szlacheckie dzieci.

Radzą żaki. Chmurna, smutna twarz Jana na piersi się chyli, coraz niżej, niżej, a Szaweł serce zbolełe rozpala mu namową, której słuchać lęk ale i rozkosz dziwna.

„Czy ty nie wart córki Strażnika Złotoczaszki? Alboż to on senator?“

„Zgubić ją!“ ostatni wykrzyk uwielbiającej, czystej, dziecinnej miłości, myśl ostatnia z tych myśli, które wczoraj jeszcze za zuchwalsze drgnienie „przepraszały ją na kolanach jak Najświętszą Pannę Maryą“.

Jankiel JW Panom studentom kredytuje chętnie gąsiorek wina, jakie ksiądz gwardyan franciszkański pije w piątek. Wczoraj zapłacił dukatem. Wino stawia na stole. A syn jego Jankielek z akşamitnemi oczami goni do panów Szwedów. „Lepiej zapobiedz w czas“.

Noc się kończy. Dziwne w tej zimie noce. Zbyt wczesnie świt nastaje, choć na mogiłkach leży śnieg, choć to Boże Narodzenie.

Ksiądz Prowincyał (Gwardyan) rano wstał. Po refektarzu klasztornym chodzi, lampy w kątach krwawo się czerwieńią. Ciemność już dogasa na dworze. Skoro świt trzeba „chorągwie poświęcić i błogosławić regimentowi, który wychodzi na Szweda“. Czy aby co dobrego z tej imprezy wyniknie. Z utrapienia w nocy sen na powieki stare nie przyszedł. A ksiądz Prowincyał rad do późna się wczasuje. I srocзка zdeptana — zły omen. Czas mówić ranne pacierze — różaniec i brewiarz duszy spokoju nie przynoszą. „Szwedy klasztor zrujnują, w gruzy wszystko pójdzie, zmarnieje dobytek gromadzony od lat. Nie trzeba było słowom Strażnika dawać posłuchu. Dobrze radził Zakrystyan“. Smutnie kiwa głową ksiądz Prowincyał. A pod oknami klasztoru, umalowanemi już liliową jutrzeńką, słychać tentent koni i dźwięk blach pancernych i pałaszy i łomot rozwiniętych chorągwi. „Ornat i komżę — Barabaszu“.

Oto wałą się w refektarz hurmą Marszałek Złota Czaszka w misiurce stalowej na głowie, w pancierz czarny zakuty, z buzdyganem w ręku i pan Regent Gaska, konfederacyi chorąży, w hełmie złotym i złotych blachach cały, sztandar z Matką Boską i Orłem białym w ręku dzierżący i pan Milowicz z Dymitrowki i szlachty posesyonatów moc, a wszyscy zbrojni, szablami, ostrogami dźwięczą. Cisną się w tyle panowie miejscy, u tego berdysz w ręku, u tego znów flinta lub garłacz, a miny wszystkich gęste, a w oczach blaski złote jak pana Gąski zbroja.

„Błogosław księżę Prowincyale“.

Z głów lecą w dół kołpaki, hełmy, lisie czapki. Setki kolan w ziemię ciężko uderzyły. Na główniach szabel zacisnęły się ręce. Czoła ku ziemi się chyła.

Zbladł ksiądz Prowincyał. Opuszcza go zwykły dar wymowy, choć zwykle dość jest w takich razach przytomny. Ręce drżące

podnosi nad tłumem, nad chorągwią, co przed nim się zniża. Przez wązkie szyby klasztornych okien pierwszy promień słońca zaświecił i orła wyszytego jedwabiem na sztandarze ozłocił.

„Chorągiew święci Bóg“ — załkał Franciszkanin. I płyną mu łzy na ornat bogaty i w prostych, płaczem przerywanych słowach żegna zbrojnych, którzy domy swe dla Ojczyzny rzucają. „Ufni bądźcie w Najświętszej Panny regimentarstwo. Nie zawiedzie nikogo Jej obrona, łaska jej łaską Matki jest Najłaskawszej. Niech was w płaszcz swój litosną miłością świecący utuli, a jeśli któremu z was wyroki Opatrzności zginąć każą i osierocić rodzinę, niech z imieniem Maryi na ustach kona, a wdowom i dziatkom Ona będzie patronką. Idźcie synowie moi, w Chrystusie bracia i w Polsce“.

Do rąk Prowincyała rycerze się garną, rękawy habitu, kolana całują. On okiem zażawionem po wszystkich spogląda.

„Zwyciężymy, Ojcze Wielbny! Na koń Mospanowie“, woła Strażnik.

Wstało zimowe słońce, złotą falą refektarz zalewa. Książd Prowincyał z okna się wychylił, odjeżdżających krucyfiksem żegna. I zdaje mu się, że nad lasem kopii i proporców płynie w ramę promieni słonecznych ujęty obrazek Bogarodzicy z Dzieciątkiem na ręku.

Któż to puka tak wcześniej do klasztornych wrót?

Panna Agnieszka, z twarzą bielszą od lilii, z oczyma łez pełnemi, do nóg zakonnika przypadła. Złote warkocze rozsypały się na kamiennej posadce.

„Za ojcem płaczesz, dziewczuszko? O rycerza się lękasz, który pojechał nieść sukurs zagrożonej Ojczyźnie? Pohamuj łzy. Niewieścia to rzecz obawa, przed nią jedynie w modlitwie obrona“.

„Nie za ojcem ja płaczę — nie za ojcem“.

„W jakiejże sprawie panna strażnikówna moich usług żąda?“

„Niech mnie Ojciec Wielbny ratuje!“

I przyciska głowę do jego kolan i oczy zrozpaczone ku niemu podnosi.

„Wczoraj były moje z panem Gąską zrękowiny. Ojciec rekuzować mi nie pozwolił. Mama do późnej nocy dogadywała mi, o szczęściu przysłem rozpowiadając. Spokoju mi nie dali — spokoju ani chwili. Ja nie chcę — nie chcę — Ojcze Prowincyale, ja za pana Gąskę wyjść nie mogę — Ojcze, ja będę się modlić, żeby pan Gąska na wojnie zginął. — Czy to grzech o takie rzeczy się modlić?“

Zatrzepotał rękami książd Prowincyał:

„Dyabeł zaiste waćpannę opętał! Złego ducha to sprawy, gdy panna w enocie i świętej wierze chowana, narzeczonemu swemu śmierci życzy. A bójże się Boga i wszystkich świętych — dziewczyno! Serca trzeba nie mieć ni sumienia, by na głowę kawalera tak statecznego i w afekcie wiernego ściągać chmurę zagłady. Myślą ciężko zgrzeszyłaś, myślą obraziłaś Boże przykazanie: „Nie za-

bijaj“. Do kościoła zejdź na dół! Klękniij przy konfesyonale — módl się, aby grzech ci odpuszczono. Przyszłę tam księdza, by cię wy-spowiadał i pokutę zadał srogą. Przeciw ojcu, przeciw matce pod-nosisz się waćpanna. Złe dzieci długo nie żyją, zapamiętaj to sobie, Agnieszko“.

Szept cichy: „Ratuj, Ojcie Prowincyałe. Ja wołę pójść na Za-łobiecki cmentarz, pod śnieg głęboko, niż do pana Gąski łoża. A je-śli on z wojny żyw wróci, nie uratuje mnie przed nim nikt. Co ja mam robić? Takam młoda jeszcze.“

„Idź mi zaraz do konfesyonalu!“

Wstała. Rumieńce zakwitły na jej licach. Do ręki księdza usta przycisnęła.

„I tak dość mi już smutno. Ja się nie będę spowiadać“.

Ksiądz Prowincyał oczy otworzył szeroko.

„Myślałam, że można przeciw woli ojca pójść i matki, gdy się chce siebie ratować. Kościół zakazuje. Będę posłuszna. Tylko — ja taka młoda jeszcze przecie — taka młoda“.

Schyliła głowę na piersi.

„I już grzesznica“.

Wyszła za próg klasztoru. Prowincyał w krzesle ciężko usiadł, głową zaczął kiwać. Zmęczony był. Zasnął.

Gdy zaszedł zimowy, gwiazdzisty wieczór, gdy w okienkach dworu strażnika zapalono światła, do drzwi zapukała gromada ża-ków, przebrana za aniołów i dyabłów. Wykleili sobie z papieru betlejemską gwiazdę czerwoną i fałszywie zaśpiewali prostą kolędę. A w ciemnym kącie student Jan, w anielskim kostymie, pierwszy raz mógł do panny Agnieszki przemówić i głos jej drżący a słodki usłyszeć.

„Widziałam waćpana nieraz pod mojem oknem. Mam przez niego srogie zmartwienie“.

I śmieją się do studenta oczy dziewczęce, przez łzy się śmieją, w łzach od tyłu godzin skąpiane.

„Zuchwałość mą czy przebaczy gwiazda sliczna?“

„Ja się nie gniewam. I niech waćpan wie — za pana Gąskę nie wyjdę. Tak mi Panie Boże dopomóż“.

Żaki coraz głośniejsze śpiewają, rozmowę kochanków przed uszami Strażnikowej osłaniając.

Jan zdobył uścisk rączki panińskiej i cichą, ledwo dosły-szalną obietnicę:

„O świcie będę jutro znów przy oknie“.

Do studenckiej skarbonki sypią się hojnie przez Strażnikową rozdzielane grosze. I śmiech dziewcząt służebnych łączy się ze śpie-wem żaków i wesołością rozbrzmiewają ściany dworku i Strażni-kowa na zbyt długą Agnieszki z Janem rozmowę oczy przymyka. „Tyle ich szczęścia“.

Nagle w drzwiach staje szlachcic krwią i śniegiem okryty, z twarzą szarą ze zmęczenia czy z rozpacz.

„Pan Milowicz? Z bitwy powrócił?”

„Hiobowe wieści przynoszę. Strażnikowo Dobrodziejko! Szwedy na nasz napad były przygotowane. Zdrada złączyła się z wojennem niedoświadczeniem, by dokonać dzieła pogromu. Huf nasz, nadciągający w rycerskiej ufnosci, przyjęto ogniem z muszkietów, na rozprószonych napadły rajtary. Połowa tych dzielnych, którzy rano wyruszyli, pole pod Dubnem zaległa. Reszta w rozsypce na cztery wiatry. Nie szczęścił Bóg“.

„A mąż mój?” pyta dziwnie spokojnym głosem Strażnikowa.

„Zginął bez wieści pan Marszałek Złota Czaszka. Nie wiadomo, czy poległ jak rycerz, czy jeńcem wzięty. Jak lew bił się — przemocy nie sprostał“.

W kącie stuliły się żaki i dziewczęta. Panna Agnieszka patrzy na szlachcica wielkimi, tak wielkimi oczami, że zląkł się pan Milowicz.

„Przebóg, czemu tak patrzysz, mościa panno?”

„Żali pan Gaska także uszedł bezpiecznie?”

„Pan Gaska, konfederacy chorąży, padł kulą szwedzką ugodzon, padł, broniąc sztandaru z Matką Boską i Orłem białym“.

Chwieje się Strażnikówna.

„Zabiłam“.

I na ręce matki pada.

„Idźcie stąd wszyscy. Córka mi zemdlała — a ja szaty ubieram żałobne“.

A studenci wołają:

„U Bazylianów i Jezuitów w dzwony wałaj. Na trwogę to pewnie, na gwałt! Szwedy miasto napadną. Teraz nam ojczyznę bronić nikt nie zakaze!“

Ponuro szepce pan Milowicz:

„Rzekł Strażnik Złota Czaszka, że w pierw pod mogiłkami będzie, nim Szwedów do Krzemieńca dopuści“.

„I przysięgi dotrzyma“ — rzecze silnym głosem Strażnikowa, prostując się dumnie i z oczu starych ciskając błyskawice.

Upłynął szereg dni i tygodni.

(Te naszkicowane poprzednio sceny wydawałyby mi się aktem trzecim. Klęska konfederatów musiała bezwarunkowo nastąpić przedtem, nim „domek ubrał się w zieleń wiośnianą“. Przecie zdrada zapowiedziana jest przez Jankła już w scenie V. aktu drugiego. I mimo że Poeta w dramatach przeważnie zachowywał jedność czasu, między aktem trzecim a następnymi musi nastąpić przerwa dyktowana wskazówką, że dla pierwszych dwóch aktów (i podanego przezemnie w projekcie trzeciego) czasem, w którym akcja się rozgrywa, jest Boże Narodzenie).

Trwogą i oczekiwaniem nieszczęścia dyszące miasteczko znów powoli w życiu codziennem zastygło. Szwedy nie wkroczyły. Ale w domkach miejskich i w dworach żałoba. Braci, synów, ojców, opłakują samotni. Żałoba w domu Strażnika. Panna Agnieszka od

tygodni z łoża nie powstaje, coraz bielsza, coraz nędzniejsza. Strażnikowa w czarnych szatach pół dnia na kolanach spędza w żarliwej modlitwie. Zakochany student próżno codziennie błądzi pod oknami anielskiej panny. Okienne zamknięte, a przez ich serca nie wyglądają niebieskie oczy.

Smutne wierszy pan Jan układa — duszę ma od wierszy swych smutniejszą.

Wiosna nadeszła, wczesna i słońcem roześmiana. Bluszcz zakwitł na ścianach dworku, w świeżą zielen ustroiły się stare lipy.

Wyprowadza Strażnikowa chorą córkę pod drzewa. Okiem matki bolesnem patrzy na wychudłą twarzyczkę Agnieszki, na oczy coraz większe, coraz gorętszem światłem świecące.

„Życie w tych oczach się spala“.

Gdy matka na chwilę odeszła, Strażnikówna ręce składa do modlitwy. Czy Bóg przebaczy? Oto śmierć jej już bliska. Czuje tę śmierć dziewczyna w każdym wiatru powiewie, w każdym promyku słońca, co bladą twarz jej ozłaca. Oto mści się myśl mordercza, myśl, którą biednego pana Gąskę zabiła. Ta myśl jej młode życie wyżera. Młode, a takie smutne. I po śmierci nie dozna niebiańskich rozkoszy — kara ją tylko czeka, kara za grzech ten, że miłości pragnęła.

Nagle u kolan swych czuje głowę chłopięcą. U nóg jej leży pan Jan i płacze. Stróżem był swej czujnej tęsknoty, tęsknota do ukochanej dziewczyny go przywiodła. Patrzą na niego przerażone oczy panny Agnieszki.

„Odejdź waćpan. Ja grzeszna i umierająca. Ja miłości nie godna, jam pełna winy. Myślą zabiłam człowieka“.

„Ty — winna?“

...w usta swe bierze  
nieco powietrza i słońca  
i czyste mówi pacierze  
i w pierś się bije bez końca.  
Moja wina! moja wina,  
niewinna mówi dziewczyna,  
złocista w słońca promyku.  
A u mej białej dziewczeczki  
dwie róże jak aniołeczki  
siedzą w białym korneciku  
i słuchają — i śmieją się z win.

„Nie mam róż w kornecie czerwonych — nie zasłużyłam już na kwiaty. Nie wolno myśleć o mnie jak o białej, o czystej“.

„Najbielszą będziesz zawsze w myślach moich, choćby stu księży cię przekląło“.

„Tobys poszedł waćpan ze mną w piekło i w przekleństwo?“

„I szczęścieby to było dla mnie największe, że i aniołowie równego dostąpićby nie mogli“.



Wiążą się oczy młodych świetlistymi promieniami. I siłą świętą wiedzione łączą się ich usta. Pierwszy pocałunek.

„Szatańska to rada przyjaciela, by uwieść ten kwiatusek pachnący. U nóg jej leżeć, głowę oprzeć na jej trzewiczkach i zasnąć i umrzeć w błogości“ — myśli Jan.

I usta palą mu się płomieniem i w sercu grają melodye szczęścia niesłyszane. Ona główkę w tył przechyliła, oczami go całuje.

Ryk rozlega się nagle z za węgła domu. Skopek kaleka, obłąkany i paraliżem tknięty, ręką wyschłą kamień podnosi, na studenta ciska. W czoło go ugodził. Pada pan Jan krwią zalany.

„Tiotia, tiotia, ja tego skubenta nie kijem a kamieniem! Już nie będzie łąził, już nie będzie“.

Kaleka cieszy się, podryguje, śmiejąc się śmiechem obłąkańca. Przez mroki obłądu, przedarła się zazdrość. To nagroda

za obwarzanek biały dla nędzarza.

Panna Agnieszka ciśnie ręce do serca. Słowa z warg zbielałych wydobyć nie może. Gasnące źrenice konającego studenta ostatnią prośbę do jej oczu wnoszą. Chyli się nad nim. W czoło go całuje.

Od miasta zrywa się gwar. Pod lipy zbiega się tłum.

„Rycerze jadą!“

Skrzydlatych husarzy widać, na ich czele pan Koniecpolski. A obok niego starzec w czarnej zbroi, były konfederacyi Marszałek, Złota Czaszka. Twarz ponura, na piersi schylona.

Na mogiłce syna przysiągł, że wojakiem jest tęgim, że w pierwszym zdarzeniu pokaże to i udowodni, krew wrogów ojczyzny miała mu przyświadczyć. A teraz powraca bez chwały, bez rycerskiej cześci. Pod inną wodzą, pod inną chorągwią bił się jak prosty żołnierz, bił się wprawdzie walecznie, lecz duszę ucisku ma pełną i gryzie go robak upokorzenia.

Widzi go tłum:

„Gdzie dzieci nasze, gdzie ojce i męży? Gdzieżes ich wywiódł Złota Czaszko? W zatracenieś je podał i w zgubę! Przeklęty bądź — przeklęty!“

Podnosi głowę, oczu przed tłumem nie schyla.

A oto przez ciżbę ktoś się ku niemu przedziera. Strażnikowa za rękę go bierze i prowadzi pod lipy.

Tam leżą dwa trupy. O martwą skroń studenta oparła czoło Agnieszka, czoło blade, dziewicze. I leżą razem, trzymając się za ręce. A szumią nad nimi drzewa, szumią pieśń cichą, podzwonna — pieśń życia poważną, spokojną.

Złota Czaszka zgiął kolano. Po starej twarzy nie spłynęła łza.

Tłum klnący umilkł.

Hej, krzemieniecki Strażniku, najcięższa przyszła na cię godzina.

Patrzą wszyscy, mieszczenie i husarze, patrzy ksiądz Prowincyał, który z klasztoru przybiegł z wiatykiem, patrzy Strażnikowa, nieruchoma jak posąg.

Złota Czaszka dłonią w rycerską rękawicę odzianą w piersi bić się zaczyna.

„Za grzech mój wielki, za grzech pychy, krzyż ten, Panie, kornie przyjmę. Pochwalone niech będzie imię Twoje i wola Twoja święta niech się stanie“.

Milczenie. Chorągwie szumią z wiatrem i szumią lipy.

„Pochować mi razem te dzieci“.

A ksiądz Prowincyał odmawia Anioł Pański.

„Otwórz im Boże, niebo swoje“.

Otworzy to niebo Bóg. Za pięknych było tych dwoje młodych na ludzką, biedną miłość.

Do opartego na mieczu Strażnika zbliża się husarz potężny, dłoń na ramieniu mu kładzie.

„Chyli przed tobą skroń Jeremiasz ksiązę Wiśniowiecki. Po łanach ojczyzny jeszcze krążą najezdne zbiry. Nie czas na zapamiętywanie się w boleści“.

„Spokojny dom“ spłonął od pioruna, choć „broniła go wiara i czystość“. Ale „rozpaczy uchroni się człowiek“, gdy myśl weźmie ku obronie, że jest kością z kości i krwią z krwi Ojczyzny.

Oto w krótkim zarysie projekt uzupełnienia posagowego fragmentu „Złotej Czaszki“. Powtarzam, szczęśliwy będę, jeśli kiedyś projekt ten przyda się polskiemu poecie, któryby, w tym cudnym „szczętku dramatu“ zakochany, ośmielił się go dokończyć.

W krakowskim i lwowskim teatrze grano „Złotą Czaszkę“ z uzupełnieniem w kształcie żywego obrazu: Przed dworkiem stoi rota pancerna i leżą zwłoki Strażnika na marach. Pomysł sceniczny wdzięczny (autorem jego, zdaje mi się, Józef Kotarbiński) ale, mojem zdaniem, nietrafny.

*Juliusz German.*

## Tłómaczenie niemieckie „Genesis z Ducha“.

W czasopiśmie niemieckim *Lotusblüthen*, wydawanem przed kilku laty w Lipsku<sup>1)</sup> pod redakcją Franciszka Hartmanna, pojawiło się w r. 1897. tłómaczenie niemieckie *Genesis z Ducha* Juliusza Słowackiego p. t. *Genesis aus dem Geiste, ein Gebet. Von Julius Słowacki* (Jahrgang 1897. II. Semester Heft LXI i LXII. str. 663—702 i s. 761—784.) O tłómaczeniu tem wspomniał Eugeniusz Henryk

<sup>1)</sup> Pełny tytuł tego czasopisma brzmi: *Lotusblüthen. Ein monatlich erscheinendes Journal enthaltend Originalartikel und ausge-*